

**Marysia
Bednarczyk**

Organizuje akademie golfa dla kobiet chorych na raka.



**Wacław
Laszkiewicz**

Jako pierwszy w Polsce zaczął uczyć golfa niewidomych.



**Marek
Jelonek**

Od 4 lat uczy golfa niepełnosprawnych intelektualnie.



GOLF NA DŁONI

Trzy różne osoby. Trzy różne charaktery. Każdy z innego rejonu Polski. Jednak oprócz pasji do golfa łączy ich jeszcze jedno – chcą dzielić się nią z innymi. Jak to robią, z czym mają problemy i dlaczego golf może stać się doskonałym antidotum na przeciwności losu.

Joanna Druźba

MARYSIA

Golf&Roll: Golf to dobry lek na raka?

Maria Bednarczyk: O tak! Bardzo dobry. Jest to umiarkowany wysiłek, nie tak intensywny i obciążający jak chociażby fitness czy bieganie. Panie, które do nas przychodzą, traktują go jako doskonałą rehabilitację.

G&R: Dlaczego zdecydowałaś się zorganizować podobne zajęcia? Nie chciałaś zostać za sobą tych wszystkich złych przeżyć?

M.B.: Zdecydowanie nie. Należę do tych

osób, które lubią przegadać wszelkiego rodzaju problemy. Wydaje mi się też, że mówienie o raku, tak jak próbuje to robić teraz wiele kobiet, troszeczkę od-demonizowuje tę chorobę. Bo wciąż poprzez krzyczące nagłówki typu „Przegrała walkę z rakiem” otrzymujemy przekaz, że jest to



choroba śmiertelna. A tymczasem wcale tak być nie musi, gdyż choroba ta wcześniej wykryta i dobrze leczona jest uleczalna.

I trzeba o tym mówić i być przykładem dla osób nieco słabszych psychicznie, które niekoniecznie mają siłę i wolę walki. Zobacz, mi się udało, było ciężko, ale jestem, żyję, bawię się świetnie. Ty też możesz.

G&R: W jaki sposób kobiety trafiały na twoje zajęcia?

M. B.: Miałam ułatwione zadanie. Mój mąż jest trenerem golfa, mamy własny dri-

ving range, czyli idealne warunki do tego typu akcji. Przez to nasze nakłady pieniężne nie były wysokie: udało nam się znaleźć także sponsora na piłki dla pań, bo na zajęciach każda dostawała duży kubeł piłek do wybicia i oczywiście sprzęt. Zajęcia trwały ok. 2 godz. i prowadził je Marek. A akcję zaczęłam od pisania do różnych fundacji, które z kolei do uczestnictwa w naszych zajęciach zachęcały swoje podopieczne. Puściłam także wici wśród swoich znajomych i wywieszałam info w centrum onkologii, gdzie nadal, niestety, jestem pacjentką. I jak się okazało, to zadziałało. Na każdą akademię miałam przygotowanych zawsze 10 miejsc, tymczasem już na pierwszych zajęciach pojawiło się około 20 kobiet, w tym takie panie, które przyszły bardziej z ciekawości, chcąc zobaczyć, jak gramy. Część z tych pań pojawiała się na kolejnych spotkaniach. Zawsze starałam się też organizować inne atrakcje. I tak na przykład, na zajęciach jeden ze sponsorów, firma Mary Kay, pokazywała paniom, jak mogą dbać o swoją urodę. Jednego razu

„Teraz moje okulary, przez które oglądam świat, są jeszcze bardziej różowe.”



**MARIA
BEDNARCZYK**

Kipiąca energia i optymizm. Jak sama przyznaje, to nie ona zainteresowała się golfem, ale golf się zainteresował nią. W 1998 r. zaczęła pracę w biurze Polskiego Związku Golfa polecona przez ówczesnego sekretarza związku Andrzeja Kalińskiego. Od tamtego momentu golf stał się jej przeznaczeniem, szczególnie kiedy w 2003 r. do Polski na zaproszenie związku przyjechał z Hawajów niejaki Marek Bednarczyk, jej obecny mąż, aby objąć funkcję trenera kadry narodowej. „Odkąd poznałam Marka, nie miałam już wyboru, gdyż kategorycznie stwierdził, że jego żona po prostu musi grać w golfa! I od tamtego momentu pod choinką znajdowałam wyłącznie akcesoria golfowe.” Razem z mężem od kilku lat prowadzi wspólnie driving range Olympic GC w Warszawie. To Marek był też jej największym wsparciem, kiedy 2 lata temu wykryto u niej raka. Po trudnej walce z chorobą Marysia Bednarczyk postanowiła pomóc innym kobietom podobnie jak ona doświadczonym przez los, organizując na swoim obiekcie akademie dla pań „Golfem w raka”.

FOT. GOLF24/MAREK DARNIKOWSKI

Muszkietery golfa

dzięki wielkiemu sercu mojej znajomej zorganizowałam dzień tajski i po treningu raczyliśmy się tajskimi daniami z jej restauracji. Jadliśmy, degustowaliśmy wina, śmiałyśmy się, malowałyśmy się i grałyśmy w golfa. I co najważniejsze, panie nawiązywały znajomości, przyjaźnie i zapomniały o chorobie. Prawdziwym hitem naszych zajęć była pani Maria, która przychodziła na każde zajęcia. Ubrana w długi płaszcz, w obcasach, kapeluszu. Później, jak zrobiło się cieplej, wymieniła buty na obcasie na adidasy. Nic jej nie przeszkadzało. Mówiła, że to jest jej sposób na samotność. W sumie udało mi się załatwić sponsora na 13 spotkań raz w tygodniu, od marca do lipca, a potem jeszcze pojedynczych sponsorów na trzy kolejne zajęcia.

G&R: Czy taka forma bycia ze sobą, aktywność są ważne w walce z chorobą?

M.B.: Nie dla każdego. To zależy, jakie ma się usposobienie. Akurat te panie, które przychodziły na moje zajęcia, bardzo tego potrzebowały. Ja tego potrzebowałam. Cieszyłam się, widząc je tryskające energią, z apetytem na życie, mimo bardzo ciężkich przeżyć. A niektóre historie wokół tego raka były naprawdę wyjątkowo dramatyczne. Ja mam to szczęście, że obok mnie był wspałały mąż, który mnie wspierał, natomiast w większości przypadków, niestety, ten facet gdzieś tam zawodził. Te panie próbowały się wspierać nawzajem, a przy okazji spodobał im się golf, co cieszyło mnie bardzo, gdyż od paru lat staram się zachęcać do niego kobiety. W sumie, nie zdając sobie sprawy, wdepnęłam w niszę: bo i golf, i kobiety, i w dodatku chore...

G&R: Dlaczego, według ciebie, tak mało kobiet gra w golfa w Polsce?

M.B.: Tak jest na całym świecie. Myślę, że problem jest prozaiczny: sport ten wymaga czasu, skupienia i konsekwentnego treningu, a kobiety mają mnóstwo rzeczy na głowie: dom, dzieci, często pracę zawodową. Ja nie jestem w stanie zająć się ćwiczeniami, jeśli nie mam zrobionych podstawowych rzeczy, typu obiad, pranie czy pomoc dzieciom w lekcjach. Natomiast facet jest jak sprężynka: potrafi się zdystansować, zostawić prozę życia, zagrać rundkę, po czym jak gdyby nigdy nic wrócić z powrotem.

WACŁAW

LASZKIEWICZ

Zołnierska charyzma i gotębie serce. Wacław Laszkiewicz, emerytowany oficer Wojska Polskiego, od zawsze związany ze sportem. Już jako 13-latek zaczął uprawiać „ciężary” pod okiem słynnego trenera Ryszarda Szewczyka. W pewnym momencie musiał jednak wycofać się z uprawiania tej dyscypliny: „Po prostu przestałem rosnąć i gdy moi koledzy zdobywali mistrzostwa świata czy Europy, ja stanąłem z boku”, przyznaje. Ze sportem nie mógł rozstać się jednak na dłużej. Potem było judo, gdzie pięcizę nad nim objął trener Andrzej Suchanowski, obecnie prorektor na AWFiS w Gdańsku. Następnie strzelectwo, które trenował w klubie Gwardia Opole i Śląsk Wrocław. Tu były nawet medale z mistrzostw Polski i Kadra Olimpijska grupy C. I w końcu golf, który pojawił się w jego życiu całkiem przypadkowo w Stanach Zjednoczonych, by zdominować czas na żołnierskiej emeryturze. Członek PGA Polska, instruktor w klubie Tokary GC, wychował już 4 medalistów mistrzostw Polski i wcale nie zamierza na tym poprzestać. Jako pierwszy w Polsce zajął się grupą niewidomych, za cel stawiając sobie nauczanie ich gry w golfa. „Trener musi obudzić w swoich uczniach pasję”, mówi. On potrafi to doskonale. I co najważniejsze, pod jego okiem wszystko chodzi jak w zegarku. Żołnierskim zegarku!



G&R: Co dalej z twoimi zajęciami?

M.B.: Bardzo bym chciała je kontynuować. Szukam sponsora na te kubelki nie-szczesne. Niby są zainteresowane osoby i firmy, bo i kwota nie jest za duża – to tylko 400 zł na jedno spotkanie. Pozyskanie wsparcia finansowego jest jednak ciężkie. Próbowałam nawiązać współpracę z wieloma firmami, np. kosmetycznymi i od większości dostałam odpowiedź, że chciałyby, ale są związane z innymi akcjami. No zobaczymy. Mam nadzieję, że kogoś znaję.

G&R: Czujesz się teraz silniejszą osobą?

M.B.: Chyba tak. Wiele osób mnie pyta, co od czasu choroby zmieniłam w swoim życiu. Tyle że ja nie musiałam nic zmieniać. Mam świetne dzieci, odlotowego męża, wspierających rodziców i dużo przyjaciół, Cieszę się każdym drobiazgiem, każdym porankiem. Zawsze taka byłam. Teraz może moje okulary, przez które oglądam świat, są bardziej różowe. Czy silniejsza? No tak... Nie boję się już niczego.

WACEK

Golf@Roll: Skąd pomysł, by uczyć golfa niewidomych?

Wacław Laszkiewicz: Od zawsze miałem do czynienia ze sportem wyczynowym, a jako wieloletni szef szkolenia i dyrektor WKS „Flota” Gdynia poznałem prawie wszystkie jego aspekty. Tak się złożyło, że w naszym klubie Rotary Gdańsk Sopot Gdynia, do którego należę, pomagano osobom niewidzącym poprzez realizację projektu „Poznaj świat rękoma”. Wykonywano dla tych osób specjalne makiety zabytków Gdańska.

W pewnym momencie wobec dylematu, co dalej, pomyślałem sobie: „OK. To teraz ja nauczę ich gry w golfa”.

G&R: Powiedzieć a zrobić to różnica...

W.L.: Powiedziałem to niby mimochodem, ale też od razu potraktowałem to jako trudne wyzwanie. A ja lubię trudne wyzwania. Nigdy od nich nie uciekałem. No i zacząłem prowadzić taką 10-osobową grupę. Z początku wydawało mi się to bardzo łatwe, ale kiedy te osoby przyszły do mnie po raz pierwszy z laskami, psami przewodnikami, kompletnie niewidzący,

pomyślałem sobie: „Boże, co ja zrobiłem? Co dalej? Jak skonstruować zajęcia, żeby ten zamach był skuteczny, żeby oni w ogóle wiedzieli, co robią?”. Zacząłem z nimi pracować 2 lata temu, jako pierwszy w Polsce, nie miałem kompletnie żadnego doświadczenia, wzoru. No i wymyśliłem sam przyrządy do nauczania, stworzyłem sposób treningu, adoptując do nowych warunków mój system nauczania oparty o teorię zamachu Erniego Elsa. Mówi on, że swing golfowy to jednopłaszczyznowy ruch wahadłowy, wykonywany w sposób naturalny, z góry w dół. Zastosowałem też wierszyk mojego autorstwa, który od dawna znają wszyscy moi uczniowie. I to zaczęło działać. Moim największym problemem z samego początku było porządzenie sobie

„Nigdy nie widziałem większej radości po trafieniu do dołka, jaką miałem szansę obserwować u moich niewidzących.”



z organizacją zajęć, tak aby wszyscy wiedzieli, co robić, psy przewodnicy, trenujący, no i ja! Po drugie, ważne było, by otoczenie zaakceptowało tych „moich niewidomych”. Bo na początku chyba niejeden pomyślał sobie: „Kogo on sprowadził? Przecież oni pozabijają się nawzajem”. I w końcu najważniejsze: w jaki sposób prowadzić zajęcia, by były one skuteczne i bezpieczne.

G&R: Wyobrażam sobie, że ogarnięcie takiej grupy nie było łatwą sprawą...

W.L.: Wręcz przeciwnie. To jest sprawa prosta. Jestem żołnierzem nauczonym prowadzenia zajęć grupowych. Zastosowałem metody wojskowe, no i był momentalny porządek – każdy wiedział, co ma robić. Od początku też starałem się uczyć ich nie tylko dyscypliny – takiej sportowej oczywiście, ale też samowystarczalności...

G&R: Samowystarczalności?

W.L.: Oczywiście. Pierwsze zajęcia zro-

biłem z topografią obiektów treningowych Tokar, a że oni to wszystko zapamiętują błyskawicznie, od początku mogli poruszać się sami. Wyzaczyłem tylko linie kierunkowe, na kafelkach i matach. Wiedzieli dzięki nim, jak są ustawieni na macie, stawali i już sobie sami organizowali treningi. Gorzej z psami... źle uwiązane wykopywały dziurę w np. greenie na kilometr! Nie da się jednak ukryć, że do takich zajęć musiałem mieć asystentów, caddie'ech. O pomoc poprosiłem moich przyjaciół, Martę i Karola, oraz zawodników. Kapitałny efekt, bo okazało się, że ci moi gracze, często bardzo młodzi ludzie, tacy jak powołani w tym roku do kadry narodowej Kuba Dymecki i Filip Kowalski, znakomicie się w tej roli sprawdzili. A polegało to m.in. na tym,

że mówili niewidomym, gdzie upadły ich piłki, czy ustawiali ich do następnych uderzeń. Wykorzystałem i zastosowałem w treningu tylko i wyłącznie te przepisy, które dotyczą roli caddie'ego. Czyli, że caddie może celować za zawodnika, proponować mu określony kij, mierzyć odległość... może robić w zasadzie

wszystko oprócz jednego – nie wolno mu uderzyć piłki. I w ciągu roku poprzez zastosowanie prostych, wymyślonych przeze mnie przyrządów, nauczyłem moją grupę puttowania oraz podstawowego zamachu. Po pierwszym roku grania zorganizowaliśmy na Sierra GC turniej, a moi podopieczni wystartowali w konkursie puttowania i pokonali w nim widzących! Mam na to świadków – była telewizja, radio. Ludzie normalnie się poryczeli, widząc, jak ci ludzie cieszą się z tej gry, jakie wyniki osiągają. Oni oczywiście startowali z początkującymi, ale sami przecież też w tym okresie tacy byli. Dopiero po turnieju zacząłem z nimi pracować nad wytworzeniem normalnego swingu, przygotowując ich do gry na polu. Efekty już są: we wrześniu 4-osobowy flight moich podopiecznych wystartował w kolejnym turnieju rotariańskim, pokonując po raz pierwszy jeden pełny

dołek. Od początku do końca! Wygrał Norbert, który na par 5 uzyskał 9 uderzeń, co, uważam, jest znakomitym wynikiem. Bo przypominam – jest to osoba kompletnie niewidząca, a my stosowaliśmy reguły tak jak dla każdego uczestnika turnieju.

G&R: Masz jakieś dalsze plany odnośnie tych osób?

W. L.: Oczywiście! Otóż nadarzyła się pewna okazja. Prezes PGA Polska Jarek Sroka zlecił mi przygotowanie programu dla fundacji Demos, która rozdysponowuje fundusze Philipa Morrisa, pomagając osobom, które w społeczeństwie pozostają na uboczu. Czy to niepełnosprawni, czy dzieci specjalnej troski, czy młodzież wiejska. Ja taki program opracowałem dla PGA i chcę zacząć w 3 wytypowanych ośrodkach prowadzić zajęcia z takimi grupami, m.in. z niewidomymi. Są na to duże szanse. Bo dobrze zauważyłaś, co dalej. Ja z moimi niewidomymi pracuję już 2 lata. Do tej pory środki zapewniał mi klub rotariański oraz sponsorzy, moi przyjaciele, jak Curver Poland. Te fundusze w pewnym momencie się jednak skończyły. A to są znaczne środki – my te osoby przywozimy, odwozimy, dajemy obiekt i szkolenie. Nie mogę sobie jednak pozwolić, by ich tak po prostu zostawić. Na razie wożę ich sam i trenuję przy pomocy przyjaciół z Tokar, którzy, aż nie wejdzie ten program, nie biorą pieniędzy za obiekt. Jeżeli nie wejdzie, będę dalej szukać środków... wojskowymi sposobami!

G&R: Czy było łatwo namówić te osoby do golfa?

W.L.: Bardzo. To niesamowici ludzie. Z taką determinacją, z taką walką o siebie. Nigdy nie widziałem większej radości po trafieniu do dołka, jaką miałem szansę obserwować u moich „niewidzących”. My nie doceniamy naszych zmysłów. Kiedy nie trafiamy do dołka z 2 m, złościmy się na siebie i mówimy o sobie... brzydko! A oni po trafieniu do dołka z pół metra... skaczą z radości! Coś niesamowitego! Dlatego – kocham ich! A o tym między innymi mówi mój wierszyk. Jego każda zwrotka to streszczenie rozdziału książki Elsa „Jak wypracować klasyczny swing golfowy”. Tam jest mowa o wahadle, prowadzeniu główki kija, pomyślności piłki do celu, radości

MAREK JELONEK

Amator ze Śląskiego Klubu Golfowego (hcp 12,6). Zawodowo związany z Ośrodkiem dla Niepełnosprawnych Najświętsze Serce Jezusa w Rudzie Śląskiej-Halembie, gdzie jako instruktor zajęciowy pracuje z osobami niepełnosprawnymi. Jego przygoda z golfem zaczęła się od pewnego portalu aukcyjnego, na którym wypatrzył komplet kijów golfowych po okazjowej cenie 350 zł: „Pomyślałem sobie, że ten golf nie jest jednak taki drogi. Kupiłem i zacząłem ćwiczyć. Dopiero później okazało się, że kije te mają jakieś 30 lat, są bardzo wymagające i zmuszają mnie do dużej precyzji”, śmieje się. Wkrótce też postanowił swoją pasję podzielić się ze swoimi podopiecznymi. Dodatkowe zajęcia z golfa ruszyły 4 lata temu, a od dwóch lat odbywają się również na Śląskim KG. W tym roku dzięki zaangażowaniu pana Marka Polska zadebiutowała na Olimpiadach Specjalnych w Austrii. Za swoją pracę na rzecz niepełnosprawnych został nagrodzony pod koniec sezonu Drive'em Polskiego Golfa.

z gry. Bo nie tylko ten odnosi sukces, który uderza na 300 m, ale każdy golfista, który skończy dołek i zaakceptuje... swój wynik. To właśnie niewidomi pokazali mi, czym jest radość z gry. Oni i starsze osoby, które również bardzo mnie interesują. Otóż wiele osób, którym wydaje się, że już niczego w życiu nie dokonają, namawiam właśnie do tego sportu. I przed nimi nagle otwierają się niesamowite możliwości, szansa na dokonanie pozytywnych zmian w życiu. A radość człowieka, któremu wydaje się, że wszystko jest poza nim, po czym okazuje się, że może zrobić putta z 15 m, jest bezcenna. Ja to zresztą przeżyłem na własnej skórze, gdyż w golfa zacząłem grać, mając 47 lat. W jakim innym sporcie człowiek mógłby w tym wieku osiągnąć jakieś przyzwoite wyniki? Może w strzelectwie... to moja druga pasja! Zaznaczam jednak, że już nie jestem zawodnikiem, lecz szkole-

niowcem i tym głównie się zajmuję. Gram na turniejach wyłącznie dla zdobywania doświadczenia, aby skuteczniej uczyć. Tych wszystkich, którzy chcą być mistrzami i tych, którzy chcą szukać wyłącznie radości z gry. Trening z osobami niewidomymi jest dla mnie dowodem, że wyczyn sportowy, zdobywanie medali, to nie wszystko.

MAREK

Golf&Roll: Propozycję opowiedzenia o swojej pracy przyjąłeś z rezerwą...

Marek Jelonek: No tak. Chciałbym, aby to, co robię, było postrzegane w kontekście promocji golfa wśród osób niepełnosprawnych, a nie mojej osoby. Bo to wspaniałe, że w golfie osoby takie jak moi podopieczni mogą znaleźć działkę do realizacji swoich marzeń. A mają je tak jak my wszyscy.

G&R: W środowisku golfowym wciąż chyba mało jest ludzi, którzy poprzez ten sport

chcą zrobić coś dobrego dla innych...

M.J.: Nie czuję się kimś wyjątkowym. Dyscyplin sportu, które wchodzi w krąg Olimpiad Specjalnych, jest wiele a za każdą z nich stoi ktoś taki jak ja. Z racji tego, że golf został włączony do igrzysk, Olimpiady mogą poszerzyć swą ofertę także o niego. Kiedy w 2008 r. udało mi się zrealizować swoje marzenie i zacząłem grać w golfa, w pewnym momencie przyszła ta myśl, dlaczego nie propagować swojej pasji także wśród tych, z którymi pracuję na co dzień. A zawodowo związany jestem z Ośrodkiem dla Niepełnosprawnych w Rudzie Śląskiej, w którym znajdują się Warsztaty Terapii Zajęciowej z moją pracownią. Uśmiecham się, bo są to akurat krosna tkackie. Moja praca nie sprowadza się jednak do zajęć związanych z tkactwem, robieniem na drutach czy szydełku. To, co jest jej misją, to przygotowanie osób niepełnosprawnych intelektualnie, by mogły pójść o szczebel wyżej – do zakładu aktywizacji zawodowej, potem do zakładu pracy chronionej i być może do zwykłego zakładu pracy. Jest to cały proces wychowania w oparciu o dany profil pracowni. Oprócz tego mamy także szereg dodatkowych aktywności. Mają być one formą wzbogacenia zajęć.

G&R: Ile liczy grupa, która korzysta z zajęć poświęconych grze w golfa?

M.J.: Do Olimpiad Specjalnych mam zgłoszonych ok. 15 osób, które mogą zabierać na tzw. meetingi (turnieje). Rekreacyjnie jednak przychodzą na moje zajęcia wszystkie osoby, które są zainteresowane golfem i tak *suma summarum* wychodzi, że jest ich około czterdziestu.

G&R: Czyli golf sprawdza się w roli dodatkowej terapii?

M.J.: Dla mnie golf to nie jest tylko kwestia sprawnego posługiwania się kijem i wbijaniem piłki do dołka. W sporcie tym najpiękniejsza jest otoczka. Opiera się on na honorze. Kiedy przy adresowaniu piłki niechcący ją przesunę, to muszę to zgłosić, mimo że nikt inny tego nie zauważył. Golf uczy prawdomówności, a jest ona bardzo potrzebna w przypadku osób, z którymi pracuję, które czasami nie potrafią odróżnić, co jest dobre, a co złe. To my ich tego uczymy. A do tego dochodzi jeszcze jedno. To, że na pole trzeba przyjść odpowiednio

ubranym, dobrze się prezentować i kulturalnie zachowywać. To wszystko zmusza taką osobę, by uczyła się odpowiednich zachowań, które później przeniesie do życia społecznego.

G&R: Jak wyglądają wasze zajęcia?

M.J.: Ćwiczymy w piwnicy ośrodka oraz w jego bezpośrednim otoczeniu. Wspaniałe jest także to, że raz na 2 tygodnie korzystamy z możliwości, jakie daje nam Zarząd Śląskiego KG. Mamy możliwość przyjechania na obiekt, bez płacenia za kije i piłeczki i ćwiczenia na driving range'u. Nie wprowadzam moich podopiecznych na pole golfowe, ale jak będzie akademia golfa, mam nadzieję, że będziemy mogli wyjść i pograć



„Golf opiera się na honorze. To jest w nim najpiękniejsze.”

na jednym lub dwóch dołkach.

G&R: A pomoc klubu - to twoja zasługa?

M.J.: Po prostu zwróciłem się do jego władz z prośbą o udostępnienie drivingu i o zwolnienie z opłat. Nie chcieliśmy nikomu za bardzo przeszkadzać, a poniedziałek rano to dobry termin, gdyż jest już zazwyczaj po turniejach. Zarówno były zarząd, jak i obecny bardzo przychylnie odniosły się do tej inicjatywy. To później przełożyło się również na turniej charytatywny, który organizuję tu na Śląskim. I znowu klub bezinteresownie udostępnił nam pole, a środki z zawodów idą na rehabilitację dzieci i młodzieży w naszym ośrodku oraz w zaprzyjaźnionym ośrodku z Mikołowa-Borowej Wsi. To jest taka klamra, która spina te dwie akcje.

G&R: Na Olimpiady Specjalne w Austrii wzięłeś jednego ze swoich wychowanków. Maciej to wybijająca się postać z tej grupy?

M.J.: Przede wszystkim jest to chłopak, za którego instruktor terapii zajęciowej jest w stanie wziąć odpowiedzialność. Jest on na takim etapie wychowania zawodowego, że mógłby już z powodzeniem pójść do pracy w zakładzie pracy chronionej. A ta pewność, o której mówię, odnosi się do w miarę samodzielnego uczestniczenia w życiu. Będąc z Maćkiem w Austrii, mogłem spokojnie pójść na zebranie, a jego zostawić samego. To prawda, on jest też dobry w golfa, ma do tego przyłożenie, dryg oraz serce do ćwiczeń golfowych.

G&R: Twoje wysiłki w popularyzacji golfa wśród niepełnosprawnych zostały uhonorowane Driverem Polskiego Golfa. Jak przyjąłeś tę nagrodę?

M.J.: Powiem szczerze, że bardzo mnie to zaskoczyło i nie spodziewałem się tego absolutnie. Z drugiej strony, ja przecież czuję się jeszcze bardzo młodo! A tak na serio to myślę, że ta nagroda jest wielkim dobrem i jestem za nią bardzo wdzięczny. Nie dlatego, że jest dla mnie, ale dlatego, że jest przede wszystkim dobrem dla osób niepełnosprawnych. Cieszę się, że dzięki temu ludzie usłyszeli, że osoby niepełnosprawne intelektualnie również ćwiczą golfa. PZG opisał to na swojej stronie, wraz z moim apelem, by takie osoby i ich rodziny zgłaszały się do mnie oraz z informacją, że jest szansa, by nasze niepełnosprawne dzieci mogły wyjechać w 2014 r. reprezentować Polskę na Letnich Igrzyskach Olimpiad Specjalnych w Los Angeles.

G&R: To jest twój najbliższy cel?

M.J.: Tak, jestem tego bardzo bliski. Nie liczę na to, że pojedzie tam akurat któryś z moich zawodników. Zasada wyboru jest taka, że najpierw organizowane są zawody na szczeblu regionalnym w poszczególnych grupach hcp, potem jest szczebel krajowy. Na samym końcu z grupy wszystkich złotych medalistów nie wybiera się najlepszego, ale się go losuje. Moim celem jest to, żeby ktoś w ogóle tam pojechał. Niech ten golf będzie reprezentowany, niech na świecie wiedzą, że my, też tu w Polsce, ćwiczymy z takimi dziećmi golfa. To będzie kapitalna okazja, aby to pokazać. **G&R**